

Turcja – kanarek w kopalni porządku międzynarodowego. Dwugłos analityczny

Karol Wasilewski, Krzysztof Strachota

Tekst ten powstał w specyficzny sposób – połączył spojrzenia i doświadczenia Karola Wasilewskiego, kierownika Zespołu Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej OSW, oraz Krzysztofa Strachoty, wieloletniego szefa tego zespołu, a obecnie kierownika projektu Środkowy Wschód. Autorzy postanowili ustrukturyzować swoją refleksję o Turcji w ramach kilku bloków. Opowiadają o tym, czym jest dla nich to państwo i jakie czynniki liczą się w jego analizie, a także o zmianach, do których doszło tam w ostatnich dekadach, i o wyzwaniu, jakie niosły one dla próbujących ten kraj zrozumieć. Zastanawiają się też, co będzie decydowało o kształcie Turcji w przyszłości oraz zdobywają się na osobiste przemyślenia, odpowiadając na pytanie, co wniosło do ich doświadczenia zajmowanie się tym trudnym do jednoznacznego scharakteryzowania państwem. Ich rozmowie towarzyszy refleksja nad zmieniającymi się metodami jego badania.

Karol Wasilewski (KW): Dla mnie Turcja jest jak mikrokosmos – mały świat sam w sobie, w którym mieści się dosłownie wszystko, a w dodatku to „wszystko” zwiera się w pełnym paradoksów uścisku. To państwo, które z jednej strony twierdzi, że jest potęgą – aspiruje wszakże do roli mocarstwa globalnego – a z drugiej niejednokrotnie odmawia sobie zdolności do suwerennego działania, wskazując przykładowo, iż jego postępowanie nie wynika z samodzielnie dokonywanych wyborów, lecz zaledwie z okoliczności, które przymusiły je do obrania takiego, a nie innego kursu. To kraj o ogromnych marzeniach, który choćby chwali się, że wysłał człowieka w kosmos (pierwszy turecki astronauta Alper Gezeravcı udał się tam na początku 2024 r., by uczcić stulecie istnienia republiki

słowami jej założyciela Mustafy Kemala Atatürka: „przeszłość jest w przestworzach”), i głosi zamiar stworzenia kompleksowego programu kosmicznego, jak również przoduje pod względem innowacji w sektorze zbrojeniowym, a jednocześnie ma głęboki problem z fundamentami gospodarczymi oraz boryka się z wysoką inflacją, nierównościami społecznymi i polaryzacją polityczną, zagrażającymi tym ambitnym planom. Krótko mówiąc, o państwie tym nie da się z pełnym przekonaniem orzec, że jest „tylko takie czy wyłącznie owakie”.

Tę niejednoznaczność widać w jego analizowaniu. W nauce o stosunkach międzynarodowych utarło się przekonanie, że posunięcia Turcji można dobrze wyjaśniać realizmem neoklasycznym – teorią łączącą czynniki z poziomów systemu międzynarodowego i jego poszczególnych aktorów. Tymczasem w pismach jednego z najważniejszych w ostatnich dziesięcioleciach ideologów tamtejszej polityki zagranicznej Ahmeta Davutoğlu można dostrzec ogromne bogactwo teoretyczne. Ów realizm neoklasyczny miesza się tam z konstruktywizmem, akcentującym choćby znaczenie tożsamości czy wartości, jakie Turcja tworzy i wnosi do stosunków międzynarodowych, a niekiedy nawet hardcore’owymi wątkami geopolitycznymi, wskazującymi, że państwo to nie ucieknie od swojej geografii, czyli swojego przeznaczenia.

Krzysztof Strachota (KS): Turcja to oczywiście arcyciekawy kraj, przebogata historia, fascynująca mieszanka i synteza kultur oraz bardzo przyjemne miejsce do zwiedzania. Z perspektywy analitycznej jednak szczególnie absorbuje mnie fenomen państwa jako takiego. Państwa, które spaja tę całą różnorodność, które dominuje – albo próbuje dominować – nad wszystkim; które czuje się zmuszone inicjować i kanalizować procesy zachodzące w kraju, choć naturalnie samo podlega ruchom oddolnym. Radzi sobie raz lepiej, raz gorzej, ale jest kategorią dominującą.

Wśród znanych mi państw Turcja stanowi przypadek wyjątkowy i osobny, dziejący się na uboczu złożonych organizmów, takich jak UE, i na skraju obszarów, które w ostatnich dekadach przechodzą burzliwe wstrząsy – jak Bliski Wschód i obszar postsowiecki. Wymyka się twardym kategoriom: jednocześnie jest i nie jest Zachodem; jest istotnym członkiem NATO, ale zdecydowanie odrębnym; formalnie uczestniczy w procesie integracji europejskiej, ale od standardów europejskich się oddala; nie jest, ale i jest krajem islamskim. Przykłady można mnożyć, a wpływy i zależności – ważyć, ale na końcu Turcja i państwo tureckie pozostają kategorią szczególną. Przeciekawą, choć oczywiście dość odległą i polskim tradycjom, i współczesności.

Przy tym wszystkim dzisiejsza Turcja stanowi specyficzny przykład dynamiki politycznej w wymiarze wewnętrznym i międzynarodowym – zarówno wymuszanej przez okoliczności (w tym społeczeństwo), jak i generowanej przez działania państwa. To – konkretnie – rezultat głębokich zmian

i przewartościowań ostatnich blisko 30 lat rządów Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), które – zaryzykuję – zamknęły pewien rozdział historii tego kraju, ale chyba wciąż nie pozwalają przesądzać, czym on jest i będzie.

Od Turcji reaktywnej do ofensywnej

KW: Jeśli chodzi o analizę Turcji, podkreśliłbym cztery elementy. Pierwszy to kwestia przemian w porządku międzynarodowym. Turcja jest silnie przywiązana do myślenia, że każda ewolucja owego porządku przyniesie jej jakieś konsekwencje. Podejście to widzimy u wszystkich tamtejszych nowożytnych polityków mających coś do powiedzenia na temat polityki zagranicznej – mogliśmy je dostrzec i u Turguta Özala (w latach 1983–1993 kolejno premiera i prezydenta), i u İsmaila Cema (ministra spraw zagranicznych od 1997 do 2002 r.), i u wspomnianego Davutoğlu (szefa MSZ w latach 2009–2014, a potem premiera do 2016 r.). Pojawia się to również u İbrahima Kalına, wieloletniego doradcy Recepa Tayyipa Erdoğan’a ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, a obecnie szefa wywiadu. Mówi on wprost, że Turcja musi prowadzić „360-stopniową politykę zagraniczną”, ponieważ cokolwiek i gdziekolwiek wydarzy się na świecie, prędzej czy później uderzy i w nią. Takie poglądy wynikają m.in. z czegoś, co czasem nazywa się obsesją położenia geograficznego. Tzw. interkontynentalizm – lokalizacja w bezpośredniej bliskości trzech kontynentów – wywołuje przekonanie, że kraj leży w tak wyjątkowym miejscu, że niemal każdy czyha na jego niepodległość i suwerenność.

Drugi istotny czynnik przy analizie Turcji to sprawa doświadczeń historycznych, w zauważalny sposób oddziałujących na myślenie jej mieszkańców o polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Zależność tę doskonale ilustruje tamtejszy pęd za nowoczesnością. Wszak bierze się on m.in. stąd, że poprzednik Turcji – wielkie Imperium Osmańskie – upadł m.in. dlatego, że nie nadążył za zmianami w świecie. I gdy analizuję różne obszary działalności tureckiego państwa, często mam wrażenie, że głęboko boi się ono przegapienia jakiejś ważkiej zmiany w stosunkach międzynarodowych, w związku z czym musi być dynamiczne, ciągle prawidłowo rozeznawać trendy i dostosowywać się do tego, co aktualnie jest „na topie”. Fascynuje, jak szybko dostrzega ona te zmiany oraz próbuje dokonać szybkiej kalkulacji, które z nich generują szanse, a które zagrożenia. Rzecz jasna proces ten – jako bardzo dynamiczny – jest obciążony dużym ryzykiem błędu i nie zawsze kończy się sukcesem.

Trzeci element stanowi recepcja omówionych czynników przez tureckich decydentów. Jak w każdym państwie na świecie posiadają oni pamięć historyczną, są obciążeni kulturą strategiczną oraz mają z tyłu głowy klisze i skróty myślowe – tu związane z tym, jak wyglądały dzieje Imperium Osmańskiego

i jego upadku. Przykładowo pierwsi decydenci Republiki Turcji – ci pamiętający klęskę swojego państwa – mieli negatywny stosunek do przeszłości imperialnej. Ojciec założyciel Republiki – Atatürk – winił za upadek „imperialne przygody”, a źródła problemów upatrywał dodatkowo w konserwatystach, hamujących zmiany modernizacyjne. W związku z tym zalecał zachowawczą politykę zagraniczną – nieangażowanie się w konflikty innych, skupienie na sobie i bezpieczeństwie granic oraz budowanie tożsamości nie w oparciu o religię, która miała jednoczyć wieloetniczne państwo, lecz o nacjonalizm. Z czasem te doświadczenia pierwszych decydentów zacierały się i ulegały reinterpretacji. Pojawili się politycy – z nich rekrutują się m.in. obecne kadry rządzące – którzy inaczej patrzyli na spuściznę historyczną. Mówili na przykład, że wieloetniczność Turcji nie jest jej wadą, ale zaletą, że jej dziedzictwo religijne umożliwia jej prowadzenie aktywniejszej polityki na Bliskim Wschodzie i że w związku z tym Turcja nie powinna być zachowawcza, lecz skoncentrować się na osiągnięciu statusu mocarstwa regionalnego, a nawet globalnego.

Ostatni niebagatelny czynnik to społeczeństwo – również niezwykle dynamiczne, zdolne do adaptacji i posiadające liczne tożsamości. Dlatego do każdej koncepcji politycznej jego zjednoczenia pod jedną czapkę – czy to nacjonalistyczną, czy religijną, czy zakładającą tzw. syntezę turecko-islamską – należy podchodzić ostrożnie. Wydaje się, że niebezpiecznie jest patrzeć na społeczeństwo tureckie jako społeczność, którą rządzący mogą ujarzmić lub całkowicie sobie podporządkować.

KS: Znaczący wzrost aktywności tureckiej polityki to bez wątpienia konsekwencja zmiany optyki tamtejszych elit, ta zaś wynika z dość obiektywnych procesów. Kemalistowska Turcja, wewnętrznie skupiona na konsolidacji, w wymiarze międzynarodowym była obłożoną twierdzą żyjącą poczuciem zagrożenia czy to ze strony europejskich imperializmów, czy ekspansywnego ZSRR. Parasol amerykański i unikanie międzynarodowych awantur (nie licząc inwazji na Cypr w 1974 r.) załatwiały sprawę. Koniec zimnej wojny oraz ogromna dynamika sytuacji na Bliskim Wschodzie i obszarze postsowieckim zmieniły uwarunkowania, rodziły w Turcji i frustracje, i ambicje.

To napięcie utrzymuje się przez cały czas: Turcja odczuwa rozczarowanie lekceważeniem jej roli i interesów przez amerykańskich i europejskich sojuszników oraz wyobcowanie w sąsiedztwie. Zarazem ciągle kreuje w sobie przekonanie, że rywale i partnerzy w regionie są coraz słabsi, a ona sama – coraz mocniejsza, wreszcie zaś, że trzeba działać. Ta mieszanina resentymentu i poczucia siły zarówno cementuje odrębność państwa i jego skłonność do jednostronnych działań, jak i stymuluje jego aktywność – stale rozwija ono swe instrumentarium polityczne, dyplomatyczne, kulturowe, wojskowe i gospodarcze do realizowania celów za granicą.

Za charakterystyczne należy przy tym uznać dość elastyczne dobieranie sobie partnerów i gotowość do konfrontacji zależnie od konkretnej sytuacji oraz nieprzerwane budowanie kanałów dialogu i współpracy z możliwie dużą liczbą partnerów (niekoniecznie sojuszników) i klientów. Z daleka – gdy popatrzymy choćby na relacje z USA lub Rosją – wygląda to na schizofrenię, chaos czy nielojalność. Z bliska widać jednak logikę i konsekwencję – Ankara gra przede wszystkim na siebie i każdemu próbuje zaprezentować się jako poważny gracz: asertywny przeciwnik i niemal równocześnie pragmatyczny partner.

Drugim istotnym uwarunkowaniem przekształceń w polityce zagranicznej jest naturalnie sytuacja wewnętrzna. Dojście do władzy AKP w 2002 r. stanowiło wyraz zapotrzebowania na zmiany, a niemal ćwierćwiecze jej rządów – motor tych zmian. Samoograniczające się i zorientowane na Zachód (jako główny – pozytywny i negatywny – punkt odniesienia) elity republikańskie zostały zastąpione czy znacząco rozszerzone o całe spektrum ludzi słabiej zeuropeizowanych, bardziej tradycyjnych, a zarazem dynamicznych i uosabiających wolę awansu społecznego. To nowa energia, potężne ambicje i inne odniesienia – w tym zdecydowanie dalej idące zainteresowanie światem niezachodnim. Dzisiejsza intensywna aktywność zagraniczna Turcji dużo lepiej wyraża tę wrażliwość oraz schlebia jej (grając na różnych strunach: neoosmanizmu, panislamizmu, panturkizmu, ale i antywesternizmu), a „mocarstwowa” polityka w większym stopniu legitymizuje władzę.

Istnieje wreszcie ogrom pragmatycznych i doraźnych motywacji wewnętrznych przekładających się na działalność międzynarodową. W pierwszych latach rządów AKP demokratyzacja i kurs na integrację europejską osłabiały nieformalne wpływy armii (groźbę kolejnego przewrotu), zaś po zaostrzeniu relacji z Zachodem – zwłaszcza po 2016 r. (nieudany pucz i zakrojone na szeroką skalę represje) – prężne kontakty z wybranymi państwami Zatoki Perskiej (najbardziej równomierne – z Katarą) czy Rosją zapewniały dostęp do środków finansowych, inwestycji i rynków, co minimalizowało skutki kryzysu gospodarczego i izolacji na Zachodzie.

W tym wszystkim charakterystyczne wydają mi się dwie sprawy. Pierwsza to fakt, że przy ostrych konfliktach wewnętrznych nie widzę w Turcji sporu o ogólny charakter polityki zagranicznej. Druga natomiast to centralizacja tej sfery – oddziaływanie czynników ponadnarodowych (którymi w Europie są choćby UE i NATO) oraz aktorów niepaństwowych (jak wielki biznes czy przez lata Ruch Gülena) zostało bardzo ograniczone.

„Nowa Turcja” i wyzwania analityczne – na kłopoty „odwrócona szachownica”

KW: Wróciłbym do wątku zmienności Turcji jako podstawowego wyzwania analitycznego. Gdy zaczynałem swoją przygodę z tym państwem, a było to około roku 2010, pisano o nim w dość określony sposób. Kraj ten, wciąż aspirujący do członkostwa w UE, przedstawiano jako umiejętne połączenie islamu i demokracji, promujące „model turecki” i jako takie celebrowane przez prasę zachodnią, m.in. w związku z niespełnionym marzeniem całego Zachodu – a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych – o aktorze, który mógłby uporządkować Bliski Wschód za nas (Zachód). Porewolucyjne rządy w Egipcie, Libii i Tunezji powoływały się na AKP i ów model jako punkt odniesienia, a arabska ulica fetowała Erdoğana niczym gwiazdę rocka. Wreszcie – państwo podejmowało kolejną próbę rozwiązania problemu kurdyjskiego i związany z tym procesem trud demokratyzacji.

Zarazem było to państwo, które nadal dynamicznie się zmieniało w reakcji na rozmaite wyzwania międzynarodowe i wewnętrzne. W 2013 r. Ruch Gülena – wcześniej sojusznik polityczny AKP, który dostarczał kadr na potrzeby administracji państwowej – wyrósł na wroga numer jeden partii rządzącej. Ewolucję przechodziła też ona sama: powstała jako ugrupowanie czterech liderów, a z czasem zaczęła się kojarzyć wyłącznie z jednym – Erdoğanem. W 2015 r., czyli zaledwie pół dekady później, upadł proces kurdyjski i na nowo rozgorzał konflikt z Partią Pracujących Kurdystanu (PKK), od razu przybierając jedną z najkrwawszych jego odsłon w historii. Niewiele pamiętało hasła pojednania z Kurdami, a ultranacjonalizm święcił triumfy. W 2016 r. doszedł do tego nieudany zamach stanu, który przyspieszył dedemokratyzację, a z czasem przyczynił się do tego, że Ankara, do niedawna prowadząca politykę „zero problemów z sąsiadami”, do 2020 r. skonfliktowała się w zasadzie ze wszystkimi. Niemal wszyscy, poza analitykami, zapomnieli już o „modelu tureckim”.

Turcja stała się za to państwem wybitnie asertywnym i stawiającym partnerom wygórowane żądania. Jako szczególną ilustrację tego stanu rzeczy można wskazać jej stosunki z Unią po 2015 r., kiedy to z uwagi na kwestie migracyjne miała wrażenie, że dysponuje w tej relacji pozycją silniejszą. Skłóciła się nawet ze swym najważniejszym sojusznikiem, Stanami Zjednoczonymi, które nałożyły na nią – sojusznika z NATO! – sankcje za zakup rosyjskiego systemu obrony powietrznej S-400. Swoim zachowaniem doprowadziła ostatecznie do urzeczywistnienia się koszmaru tureckich strategów, a więc wejścia w życie porozumienia w dziedzinie bezpieczeństwa pomiędzy Grecją a Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Wszystko to działo się oczywiście stopniowo, ale gdy pomyśli się o skali zmian, jakie zaszły w latach 2010–2020, można odnieść wrażenie, że Turcja lubi stany radykalne – takie, które zaledwie 10 lat wcześniej określono by mianem „absolutnie niemożliwych”. Chyba najlepszym tego przykładem

jest zagadnienie jej członkostwa w NATO. Podejrzewam, że gdybyśmy w 2007 r. powiedzieli ekspertom ds. bezpieczeństwa międzynarodowego, że 10 lat później w zachodniej prasie będą pojawiały się teksty rozważające usunięcie Turcji z Sojuszu na podstawie Konwencji wiedeńskiej o prawie traktatów, to potraktowaliby nas niezbyt przychylnie.

Wszystkie te procesy niosły konkretne konsekwencje dla analityków. Gdy zaczynałem swoją przygodę z Turcją, nie znając jeszcze dobrze tamtejszego języka, jej przestrzeń medialna sprawiała wręcz wrażenie skrojonej pod potrzeby ludzi mojego pokroju – była pełna publikacji po angielsku, w dodatku umożliwiających utrwalenie fundamentalnych wątków politycznych. Z czasem, wraz z narastaniem konfliktów wewnętrznych, przestrzeń ta zaczęła się silnie zawężać, gazety pisały coraz mniej i coraz mniej sensownie, a ja, wychowany na maksymie „w internecie nic nie ginie”, mogłem skonfrontować ją z realiami. Archiwa przejętych przez rząd gazet kasowano, co dla mnie oznaczało tyle, że zapisane artykuły z tureckich gazet internetowych – a przez dziesięciolecie uzbierało się ich kilkaset tysięcy – nagle wyparowały. Dziś, chcąc dobrze orientować się w sytuacji w państwie, warto znać i angielski, i turecki. Co więcej, ze względu na ogromną polaryzację polityczną trzeba czytać zarówno źródła prorządowe, jak i opozycyjne, orientować się w zagadnieniach poruszanych przez kulturę, w której czasem szybciej i wyraźniej zaznaczają się istotne dla społeczeństwa tendencje, a do tego wiedzieć „kto jest kim” oraz znać historię naszych rozmówców, bo nieraz to ona decyduje o głoszonych przez nich poglądach.

Jako przykład napotykanych trudności warto też wskazać te związane z oddziaływaniem atmosfery zastraszenia powstałej po puczu z 2016 r. Zaowocował on nie tylko szerszą autocenzurą w mediach, lecz także „dziwnością” u analityków. Czasem, rozmawiając z nimi przykładowo o wspomnianym zakupieniu przez Turcję systemu S-400, nie wiedziałem, czy to, co mówią, stanowi element nietypowej gry analitycznej, oznakę strachu czy może efekt jakiegoś zbiorowego złudzenia, że Turcja nie musi się już z nikim liczyć. Spędziłem długie godziny na zapewnianiu, że Amerykanie nałożą na nią sankcje za transakcję z Rosją, a zwykle spotykałem się z butną upartością: rozmówcy argumentowali, że Stany Zjednoczone nie odważą się na taki ruch. Odbywało się to w warunkach wyjątkowo konsekwentnej i wyraźnej sygnalizacji Waszyngtonu, że sprawa S-400 to „czerwona linia”, po której przekroczeniu będzie on musiał przewartościować swe stosunki z Ankarą.

Inny przykład? Kiedyś jeden z prorządowych analityków przekonywał mnie, że trójpodział władzy nie istnieje, głowy państw zachodnich mogą rozkazywać sądom, a wszelkie normy i reguły są tylko zasłoną dymną dla realnej polityki. Wtedy pojąłem, że pomiędzy naszymi rzeczywistościami analitycznymi doszło

do jakiegoś pęknięcia, że co prawda wciąż posługujemy się tymi samymi pojęciami, ale rozumiemy przez nie coś innego. Zrozumiałem, że jeśli moje wymiany eksperckie mają mieć jakiś sens, to będę musiał jeszcze uważniej słuchać moich rozmówców i starać się rozgryźć, skąd pochodzą ich poglądy, jednocześnie nie poddając się im. Naturalnie wzmocniło to we mnie owo przekonanie, że trzeba mi jeszcze lepiej poznać przeszłość tych ludzi – aby móc spróbować rozszyfrować, czy faktycznie wierzą w to, co mówią, czy z jakiegoś powodu (obaw o pracę lub podatności na ultranacjonalistyczne tezy) tylko podejmują ze mną swego rodzaju grę.

Dalej: na uwadze musiałem mieć również to, że przedstawiciele niektórych think tanków po prostu zgodnie z duchem pragmatyzmu bardzo szybko pojęli, że jeśli chcą przetrwać w przestrzeni publicznej, muszą zmienić *modus operandi* – w mniejszym stopniu pełnić funkcję tych, którzy wykorzystują wiedzę do sprawiania, że ich państwo może podejmować mądrzejsze decyzje, a w większym odgrywać rolę adwokatów czy wręcz tub propagandowych uzasadniających jego politykę zagranicy. To z kolei spowodowało, że należało jeszcze wnikliwiej analizować i odcyfrowywać ich komunikację – wiedzieć, które z przekazów mają cele wyłącznie propagandowe, a które powinny być traktowane z większą uwagą, bo sygnalizują „co myśli Ankara”. Co ciekawe, mam wrażenie, że ostatnio – powiedzmy, od dwóch lat – sytuacja powoli wraca do normy. I tak jak normalizuje się turecka polityka zagraniczna, która pod sterami Hakana Fidana (byłego szefa wywiadu, pierwszego dyplomaty kraju od 2023 r.) staje się bardziej pragmatyczna i przewidywalna, tak też uspokaja się tamtejsza scena analityczna. Pewnie jeszcze za wcześnie, aby uznać ten proces za zakończony, ale gdy się go obserwuje, trudno nie mieć z tyłu głowy myśli, że każda rewolucja musi kiedyś się uspokoić, bo robienie polityki – i analityki – „na wariata” ma ograniczoną użyteczność.

KS: Bezdyskusyjnie zgadzam się, że zmienność i swoista nieprzewidywalność Turcji jest zmartwieniem zajmującego się nią analityka. Osobiście problem ten staram się oswajać, konstatuując kilka uwarunkowań. W polityce zagranicznej chodzi przede wszystkim o dynamikę wyzwań zewnętrznych, na które Turcja odpowiada po swojemu – o czym wcześniej mówiliśmy. Nie mniej ważne są procesy wewnętrzne – należą do nich głęboka przebudowa porządku politycznego pod rządami AKP, zdominowana przez jednego człowieka, tj. prezydenta (koncentracja władzy pozwala na gwałtowne zmiany kursu), a także ogromna skala przemian modernizacyjnych. Turcja od 1996 r., kiedy byłem tam pierwszy raz, zmieniła się nie do poznania. Dziś to rozbudowana i nowoczesna infrastruktura, drogi, osiedla – i to nie tylko w metropoliach Stambułu czy Ankary, lecz także na głębokiej prowincji, chociażby w Şanlıurfa i Gaziantepie. To wzrost demograficzny, urbanizacja i masowe migracje oraz towarzyszące tym zjawiskom wzrost

zamożności, coraz większe ambicje i zmiany tożsamościowe. To wspomniana wcześniej wymiana elit.

To dynamiczna i mozaikowa rzeczywistość, która nie mieści się w starych kanonach, regułach, instytucjach, to stały konflikt i mediacja pomiędzy różnymi porządkami. W dużym stopniu taki jest też sam Erdoğan (dorastanie w Stambule w rodzinie przybyłej znaną z granicy, patchworkowa edukacja i formacja polityczna, więzienie, kariera urzędnicza i polityczna). To trochę świat, w którym wzorców się szuka i się je tworzy, a nie działa według nich, oraz gdzie ryzyka się dywersyfikuje i gra na kilku fortepianach.

Zmienia się – w pierwszej kolejności pod wpływem samego Erdoğan, ale też kilku większych figur, które przewinęły się przez rząd – krajowy porządek instytucjonalny w wymiarze formalnym. Zmienia się też – co nie znaczy, że słabnie – nieprzejrzysty i nieformalny układ sił w państwie, układ, z którego Turcja słynie. Składają się na niego m.in.: głębokie państwo (tur. *derin devlet*), armia jako gracz polityczny, bractwa i organizacje religijne z Ruchem Gülena na czele, wpływowa i antysystemowa PKK oraz radykalne ugrupowania islamskie. Zagadnienia te trudno śledzić, ale przynajmniej trzeba brać na nie poprawkę.

Analitik – co zrozumiałe – zazwyczaj patrzy na obce sobie realia przez pryzmat swoich kategorii poznawczych i swoją logiką próbuje owe realia zrozumieć. To nie zawsze działa, bo kategorie i logika mogą tam być inne. W Ośrodku w takich przypadkach zawsze staraliśmy się stosować zasadę „odwróconej szachownicy”, tj. świadomie zawieszać własną perspektywę i ćwiczyć się w spojrzeniu „z drugiej strony”, w tym wypadku uwarunkowań, intencji, celów i możliwości Turcji czy tamtejszego rządu, tego, jak „oni” mogą czytać sytuację, wyceniać potencjalne zyski i koszty swoich posunięć, definiować sukces. To zadanie trudne, wymagające zawieszenia opinii i ocen oraz wsłuchania się w rozmówców bardziej wymagających niż choćby ci rozumiali dla nas, wielkomiejscy, wykształceni, prozachodni krytycy urzędujących władz. Pod tym względem cenię sobie wspomnianych przez ciebie analitików porządkowych (dobrych, nie wszystkich), bo są oni miarodajni. Podobne zdanie mam o wizytach na tzw. prowincji i dyskusjach z miejscowymi ekspertami – o ich perspektywie, sądach, emocjach.

Myślę, że owa „odwrócona szachownica” pozwala przy okazji zneutralizować kilka całkiem powszechnych słabostek utrudniających rozumienie i prognozowanie rozwoju sytuacji w Turcji. Jedną z nich jest projektowanie naszych kategorii, przykładowo bardzo statyczne i redukcyjne spojrzenie na niezwykle złożoną kwestię kurdyjską. Inną – osławianie niepożądanych procesów, jak rosnący w siłę autorytaryzm, którego nie da się sprowadzić do partykularnych interesów politycznych lub materialnych poszczególnych osób czy grup rządzących krajem. Spektakularne i kluczowe dla pogorszenia

relacji z Zachodem „kamienie milowe” na drodze do tego ustroju – walka z PKK i represje po puczu 2016 r. – to oznaki głęboko zakorzenionej sekurytyzacji oraz reakcja na to, co Turcy dość powszechnie uważają za egzystencjalne zagrożenie dla własnej suwerenności (przewroty wojskowe z domniemanym wsparciem zewnętrznym) i integralności terytorialnej (perspektywa separatyzmu kurdyjskiego, również wspomaganego z zagranicy). Jednocześnie to konsekwencja poczucia, że Zachód wspiera lub chroni środowiska związane z PKK czy Gülenem, jest niełojalny, dwulicowy lub otwarcie wrogi względem Turcji. Logika miejscowego „autorytaryzmu” znacznie wykracza poza małostkowe motywacje, a przy tym opozycja wciąż może jeszcze wygrywać wybory (lokalne), zaś władze zabiegają o realną legitymację społeczną. Autorytaryzm turecki wykracza też poza ramy jednego środowiska politycznego oraz przypomina, że proces transformacji demokratycznej jest złożony, zależy od wielu czynników, wreszcie – nie jest bezalternatywny. To przykład sytuacji wybitnie niejednoznacznej. Z analitycznego punktu widzenia czarno-biały osąd, że Turcja to kraj autorytarny, a nam się to nie podoba i ten fakt kończy dyskusję, oznacza intelektualną kapitulację – zajmujemy się wszak państwem takim, jakie ono jest, oraz prognozujemy, co i jak je zmienia.

Podobnie sprawa się ma z innymi kontrowersyjnymi kwestiami w polityce tureckiej, jeśli nie zechcemy wyjść z utartych schematów. Za przykład niech posłużą miejscami bardzo bliska współpraca z Rosją – od wiedzy o niej tylko krok do opinii o silnej (i cywilizacyjnej, jeżeli dołożymy autorytaryzm) reorientacji Ankary na Moskwę. Analiza problemu z kilku perspektyw – w tym przede wszystkim tureckiej – pokazuje, że jest on bardziej złożony. Co więcej, z punktu widzenia Ankary ma swój sens i może przynosić pożądane efekty. Przy tym wszystkim nic nie wskazuje na wzrost podporządkowania państwa tureckiego Rosji: ostatecznie to pierwsze stale wzmacnia swoją pozycję zarówno wobec niej, jak i względem UE. Warto „odwracać szachownicę” – niekoniecznie zatrzymywać się wyłącznie na jednej optyce, czy to zachodniej, czy tureckiej – i ograniczyć dość powszechne na Zachodzie i nie zawsze uzasadnione lekceważenie potencjału, racjonalności i osiągnięć Turcji.

Wracając zaś do zmienności w jej polityce: musimy z nią żyć. Zarówno kurs Ankary, jak i jego niestałość będą napędzane doraźnym interesem – tak jak zakup S-400 wynikał z potrzeby nabycia systemu obrony powietrznej na korzystniejszych niż amerykańskie warunkach. Zmienność ta będzie też nieunikniona przy silnej centralizacji władzy oraz słabych – zewnętrznych i wewnętrznych – mechanizmach ją blokujących. Koszty tej polityki będą wpisane w paradygmat budowy silnej, asertywnej i podmiotowej Turcji, tak jak – z perspektywy Ankary – sprawa S-400 stanowiła manifestację odporności na naciski oraz impuls do wyjścia ze strefy komfortu.

Ku przyszłości!

KW: Niezmiennie ważną rolę w analizowaniu Turcji będzie odgrywała polityka wewnętrzna: to, jak zakończą się liczne konflikty (choćby obecne tarcia między rządzącymi a główną siłą opozycyjną – Republikańską Partią Ludową) oraz nowy proces kurdyjski, jak będzie wyglądał „paradygmat państwa” i czym zostanie wypełniony. Oczywiście nie wolno przy tym pominąć szeregu spraw bieżących i drobniejszych z punktu widzenia przetrwania Turcji, ale nadal istotnych. Do kluczowych niewiadomych należy sprawa sukcesji – co stanie się z Erdoğanem i AKP oraz jakie problemy może wywołać niekontrolowane następstwo władzy.

Wspominałem, że w przypadku tego państwa zawsze trzeba pamiętać o analizie trendów widocznych w stosunkach międzynarodowych. W związku z tym wydaje się, że korzyść przyniesie śledzenie tego, co dzieje się tam pod kątem technologicznym. Turcja ma ambitne plany odnośnie do w zasadzie każdej nowej technologii – przykładowo chce dalej rozwijać sektory zbrojeniowy i sztucznej inteligencji, a następnie je integrować, jak również budować komputery kwantowe. Ma także pomysł na rozwój gałęzi kosmicznej, którą traktuje jako jedną z „branż przyszłości”. Temu wszystkiemu ma sprzyjać zjawisko zauważalne w kraju w ostatnich latach coraz wyraźniej – legenda technonacjonalistyczna. Rządzący i część biznesmenów pragną wychować pokolenie, które przedefiniuje patriotyzm. Jego wyrazem będzie ciężka praca na rzecz rozwoju rodzimych nowoczesnych technologii, a wszystkie one mają być wytwarzane *yerli ve milli* – lokalnie i narodowo. Ewentualne urzeczywistnianie tego popularnego hasła uważam za jeden z najciekawszych procesów do obserwowania w ciągu najbliższej dekady.

Wydaje się, że niezbędna do badania Turcji okaże się też wiedza z zakresu gospodarki i procesów strategicznych. Jak wspomniałem przy okazji omówienia „odwróconej szachownicy”, z pewnością warto patrzeć na to, co Turcy definiują jako sukces, szansę i ryzyko. Szeroki zasób wiadomości o tych elementach strategicznych i ich odbiorze przez decydentów będzie niezbędny do skutecznej analizy „wychyleń w przyszłość” w poszczególnych branżach, ich sensowności i szans powodzenia. Do tego dochodzi zdolność do zważenia tego, jak plany mają się do tamtejszej ekonomii. Projekty są, jak widać, niezwykle ambitne, natomiast podstawy gospodarki państwa – bardzo słabe. Aby potwierdzić ten rozdzźwięk, wspomnę tylko o jednej rzeczy: jeżeli chce się budować nowoczesną gospodarkę zasilaną przez młodych ludzi wykształconych w duchu STEM (*Science, Technology, Engineering, Mathematics*), to sondaże (jak choćby badanie firmy Konda z 2024 r.) nie powinny pokazywać, że większość owych młodych ludzi najchętniej wyjechałaby z kraju, gdyby tylko zrodziła się taka możliwość.

Skoro system edukacji pada ofiarą napięć wewnętrznych, pewne tematy – jak ewolucja – zaczynają być postrzegane jako kontrowersyjne z powodów ideologicznych, a do tego państwo doświadcza ogromnej polaryzacji politycznej, osłabiającej umiejętność krytycznego myślenia, to pojawia się pytanie, czy Turcy będą w stanie wykształcić odpowiedni zasób kadrowy na potrzeby nowoczesnej gospodarki. Moim zdaniem odpowiedź na nie jest newralgiczna dla określenia, czy w perspektywie najbliższych 10 lat na Turcję będziemy patrzeć jako na kraj ambitny, zdolny do samodzielnego formowania rzeczywistości, posiadający aspiracje oraz patrzący przede wszystkim na siebie, czy może jako na państwo niepozbawione interesujących pomysłów, które jednak zderzyło się z niesprzyjającymi uwarunkowaniami i nie dało rady ich przezwyciężyć lub podejmowało błędne decyzje, przedkładając doraźne interesy polityczne nad kwestie strategiczne. Patrząc na częstotliwość sytuacji, w których tureccy politycy decydują się wszczynać najróżniejsze awantury – w ciągu minionego dziesięciolecia najlepiej widoczne w zarządzaniu gospodarką – kierując się zasadą „jakoś to będzie”, nie da się wykluczyć ziszczenia się drugiego z tych scenariuszy.

Rzecz jasna w tym aspekcie kluczowe jest przecięcie na linii polityki i gospodarki. W wymiarze bardziej krótkofalowym chodzi o przedkładanie interesów politycznych nad gospodarcze w okresach przedwyborczych (co szczególnie wyraziście ujawniało się przez ostatnią dekadę), a w strukturalnym – o ryzyko, że interesy polityczne coraz mocniej skonsolidowanej władzy i jej sieci nepotystycznej z czasem staną na drodze rozwoju gospodarczego.

Bardzo istotne okażą się również zmiany społeczne. Jak będzie kształtowała się tożsamość mieszkańców Turcji? Czy nieco zapomniane pojęcie *Türkiyeli* – oznaczające identyfikację z państwem, a nie z etnosem tureckim – będzie święciło triumf? A może jednak kraj pójdzie w kierunku okrojenia tej definicji i zostanie przy jakimś zreformowanym po raz kolejny nacjonalizmie? Czy poradzi sobie z polaryzacją polityczną, czy z czasem jej skutki zdewastują zaufanie społeczne, i to do systemu? W tym sensie wydaje się, że kluczowe znaczenie będą miały napięcia na linii państwo–społeczeństwo. Z jednej strony jest państwo, często rozumiane jako potężny i wszechmocny twór, któremu obywatele powinni służyć i dla którego muszą się zdobyć na każde poświęcenie – i wojenne, i technonacjonalistyczne. Z drugiej są obywatele mogący nie mieć ochoty ponosić kosztów transformacji. Dotychczas za wysokie aspiracje tureckich polityków płaciło wyłącznie społeczeństwo, i to wymiennie – wysoką inflacją i wprost ubożeniem. To, czy będzie ono nadal gotowe łożyć na budowę „nowej Turcji”, wydaje się niezwykle ciekawym dylematem do badania w ciągu nadchodzących lat.

Zaczynałem od systemu międzynarodowego, więc i na nim skończę. Do analizowania Turcji w przyszłości mogą się też przydać sprawy strategiczne, które pokażą, czym ostatecznie stanie się to państwo w wymiarze zewnętrznym. Bez wątpienia chce być liczącym się podmiotem, a posługując się językiem tureckich decydentów – jednym z centrów nowego porządku międzynarodowego. Tyle że jednocześnie wciąż nie dysponuje potencjałem, aby samodzielnie zaspokoić wszystkie swoje aspiracje, i potrzebuje mądrej polityki – umiejętności tworzenia koalicji czy przekonywania partnerów – a czasem po prostu korzystnych okoliczności zewnętrznych. I to, jak się one będą układały oraz jak Turcja będzie potrafiła je współkształtować, a zarazem nakłaniać partnerów i adwersarzy, by odpowiednio podchodzili do jej interesów, wydaje się następnym szalenie ważnym elementem dla analizy tego państwa w najbliższym dziesięcioleciu, zwłaszcza w kontekście przedsięwzięć transportowych i energetycznych czy zasadniczo budowania połączeń pomiędzy Europą, Kaukazem i Azją Centralną, na które Ankara patrzy z zainteresowaniem.

W tym kontekście ostatnie warte poruszenia zagadnienie – o którym ostatnio bardzo mało mówimy – to dziedzina cyfrowa. Czy Turcja będzie umiała odpowiedzieć na wyzwania w tej sferze i choćby ściślej zintegrować się z europejskim przemysłem, w którym najprawdopodobniej coraz donioślejszą rolę będą odgrywały nowoczesne technologie? Jak ustawi się względem rywalizacji w tym obszarze między Stanami Zjednoczonymi a Chinami? Czy zdoła na niej skorzystać? A może będzie za wszelką cenę broniła się przed opowiedzeniem się po którejś ze stron? Wszystkie te pytania dotyczą w istocie różnych aspektów przyszłego porządku międzynarodowego i będą w znacznej mierze oddziaływać na przyszłość Turcji.

KS: Wspomniałeś o sukcesji władzy, a ja potraktowałbym ten temat szerzej. Dla mnie projekt „Nowej Turcji” wciąż pozostaje nieodkryty. Wprawdzie przeprowadzono gruntowną transformację społeczną, polityczną, tożsamościową, gospodarczą i polityki zagranicznej, lecz w zasadzie w żadnym z tych wymiarów nie została ona ukończona. Faktycznie jak dotąd napędza ją i spaja osoba Erdoğan’a i faktycznie pytanie o to, co stanie się, gdy on odejdzie, trzeba uznać za fundamentalne. Tyle że jednocześnie jest to problem ogólniejszy, systemowy. I w tym kontekście zwróciłbym uwagę na co najmniej dwa punkty.

Czy w najbliższym czasie zostanie przyjęta nowa ustawa zasadnicza, która w ten czy inny sposób sformalizuje, czym są Turcja, jej ustrój polityczny i jej tożsamość polityczna? Posunięcie tego typu oznaczałoby, że dokonał się pewien proces. My, na Zachodzie, zwykle koncentrujemy się na dosyć doraźnym aspekcie zmian konstytucyjnych – umożliwianiu prezydentowi kolejnych kadencji – lub nieco szerszym – jak utrwalana będzie dominacja obozu rządzącego

i autorytarny rys państwa. To oczywiście sprawy nie bez znaczenia, ale dla mnie ważny będzie jego model docelowy – miejsce narodu, islamu, ideowe źródła legitymacji, porządek instytucjonalny, pole konsensu społecznego, który władzom udałoby się przeforsować, ostatecznie – efektywność przyjętych rozwiązań.

Jeżeli system domknie się politycznie, to kwestia sukcesji i osoba, która zostanie prezydentem po Erdoğanie, będą miały wtórne znaczenie. Siłę państwu tureckiemu daje to, że cechuje się ono dużą głębią, żyje instytucjami i nie wymaga lidera – przez długie okresy władzę nad nim sprawowali ludzie dużo mniejszego formatu. Dodatkowo ma ono zdolność do rządzenia kolektywnego, do zarządzania przez balansowanie ośrodków władzy (prezydenta, premiera, parlamentu, niegdyś armii). Jeżeli więc nastąpi domknięcie i fakt ten zostanie zaakceptowany, to sama osoba lidera nie będzie aż tak istotna. Jeżeli natomiast system się nie domknie albo proces zostanie gwałtownie przerwany, to Turcję czeka zapewne duże zamieszanie związane z pęknięciem systemu oraz poszukiwaniem i testowaniem alternatyw.

Ważną częścią procesu domykania jest kwestia kurdyjska. Stanowi ona miernik głębokości zachodzących w kraju zmian. Dla państwa to fundamentalny problem w sferze bezpieczeństwa i w wymiarze wewnętrznym. Obecna ekipa rządząca próbuje różnymi metodami – nie tylko siłowymi – go rozwiązać i włączyć Kurdów w główny nurt życia politycznego (oczywiście jako swojego młodszego partnera). Kluczowymi wyzwaniem są eliminacja PKK i demontaż jej wpływów wśród Kurdów oraz wypracowanie efektywnej alternatywy dla środowisk z nią związanych. Sukces takiej polityki nie tylko rozwiązywałby bieżące bolączki, lecz także redefiniowałby – prócz wymiaru bezpieczeństwa – tożsamość polityczną Republiki, redukując rolę nacjonalizmu. Stawka jest wysoka, wynik niepewny, ale zaryzykowałbym, że szanse na przełom są dziś większe niż pięć lat temu.

Kolejne zagadnienie: społeczeństwo. Jest ono relatywnie młode, a jego aktywni zawodowo przedstawiciele należą do wyżu demograficznego – nawet jeśli już się to zmienia (wyraźnie spadło bowiem tempo przyrostu naturalnego). Obywatele traktują zmiany, które dokonały się w Turcji, jako oczywiste i są skłonni patrzeć na nie jako na punkt wyjścia. Nie mają powodu myśleć o dorobku ostatnich 40 lat, skoro ich życie zaczęło się przykładowo w połowie tego okresu. Oczekiwania i aspiracje mają bardzo rozbudzone. Czy czeka ich pozytywne czy negatywne doświadczenie pokoleniowe? Czy wpisze ich ono w jakąś koncepcję państwa, czy raczej popchnie do kontestowania zastanej rzeczywistości? I sprawa fundamentalna: czy ci ludzie będą się utożsamiali z państwem tureckim, zaakceptują ramy, w których ono działa? A może ostatecznie owo państwo zakwestionują, sparaliżują i wymuszą obranie zupełnie innej drogi? Bez wsparcia obywateli i umiejętności kanalizowania ich energii

nie będzie mowy o przestrzeni na jakikolwiek rozwój technologiczny i politykę zagraniczną.

Nie przesądzam, co się wydarzy – patrzę na aktualne rządy jako na swego rodzaju rozłożoną w czasie nową, niedomkniętą rewolucję. Pytanie, czy do tego domknięcia dojdzie czy nie. Potem, oczywiście, nastąpi dekada lub wiek rozważań, czy się ono opłacało, czy było sensowne i w ogóle zasadne. Ale dziś w Turcji trwa właśnie wielka, niezakończona transformacja, i to nią będziemy się zajmowali w najbliższej przyszłości. Jednocześnie pozwolę sobie dobitnie zaakcentować bardzo ważny dla mnie wymiar polityki i analityki: strategię i regulacje ustrojowe, kalkulacje i intencje decydentów, intuicja i refleks w rozgrywkach politycznych, typowanie motorów rozwojowych (choćby technologicznych) to zagadnienia fundamentalne, lecz żeby to wszystko zadziało konieczne są sprawne instytucje, państwo je integrujące oraz synergia między polityką a społeczeństwem. Pytania o Turcję kiedyś tam po Erdoğanie to dla mnie w istotnym stopniu pytania o wymiary społeczny, tożsamościowy, instytucjonalny i systemowy przemian zachodzących w tym kraju i o to, na ile będzie on mógł sobie realnie pozwolić w przyszłości.

Pozostaje sprawa sytuacji międzynarodowej czy porządku międzynarodowego. Bezwzględnie podpisuję się pod wszystkimi twoimi pytaniami i wątpliwościami. Turcja ma świadomość, że jest państwem na dorobku – musi się uczyć i wzmacniać. Szybciej niż Zachód doszła do wniosku, że pozimnowojenny ład się skończył, a polityka to brutalna gra twardych interesów, zagrożeń i szans. Boryka się z problemami i ograniczeniami, ale w jej otoczeniu każdy – państwa na Bliskim Wschodzie, Kaukaz, Rosja, Unia i USA – ma swoje, bynajmniej nie mniejsze. Turcy są skazani na aktywną politykę, robią ją, ryzykują i nie mają wyjścia. Dla wszystkich dookoła są trudnym, a zarazem ważnym i pożądanym partnerem, ale też rywalem. Według mnie sytuacja jest dynamiczna i nieoczywista – nie wiem, wokół jakich procesów i na jakich płaszczyznach będzie funkcjonował ten kraj i nasze relacje z nim.

Co Turcja daje analitykowi?

KW: Na pytanie, co Turcja daje analitykowi, mam prostą odpowiedź: na początek frustrację. Zawsze dużo się tam dzieje, czasem wręcz nie sposób nadążyć. Ze względu na to, że jest tak aktywna i ambitna, generalnie nie daje badaczowi oddechu i spokoju. Wydaje mi się jednak, że te wady są niemal bez znaczenia przy zaletach. Wspomnę o trzech.

Po pierwsze i przede wszystkim – dała mi analityczną pokorę. To państwo ciągle zaskakuje. Niemożliwa jest konstatacja: „Poznałem Turcję i mam klucz, Święty Graal do jej badania”. Po drugie nauczyła mnie krytycznego

myślenia. Pewne trendy zauważane w polityce lub szeroko rozumianej prasie, którym dopiero od niedawna się nie dziwimy, tam można było zaobserwować już dawno temu. Przykładem może być równoległe funkcjonowanie „dwóch prawd”, w które wierzą przeciwne obozy polityczne. Pamiętam spór między mediami rządowymi i opozycyjnymi o obóz dla uchodźców – obiekt bądź co bądź nie mały, którego istnienie da się przecież łatwo zweryfikować. Nikt nie zadawał sobie tego trudu: zwolennicy AKP wierzyli kanałom prorządowym, a opozycjoni – opozycyjnym. Trzecia korzyść – której nie doceniałem, dopóki nie zacząłem zajmować się prognozowaniem – to orientacja w wielu tematach. Ankara skacze za każdą nowinką pojawiającą się na świecie. Przemysł zbrojeniowy? Proszę bardzo. Sztuczna inteligencja? Jesteśmy i tam. Zmieniający się paradygmat globalizacji i skracające się łańcuchy dostaw? I na to mamy pomysły. Turcja rozwiązuje problemy, które ma zdefiniowane, reaguje niekiedy zupełnie inaczej niż inne państwa, uważane za dojrzałe, ale w istocie dość prosto, bo według jasnego schematu: mamy problem, musimy znaleźć jego rozwiązanie, wdramy je. Strategicznie nie jest z pewnością „zasiedziała”, przez co wydaje się dużo lepiej przystosowana do naszej „płynnej rzeczywistości” niż choćby mniej elastyczne kraje europejskie. To zatem również państwo pozwalające analitykowi zbudować interdyscyplinarny warsztat – chyba nic nie wytrenowało mnie tak w „łączeniu kropek” i synteźowaniu jak próby nadążenia za tamtejszą hiperaktywnością. Może więc wkrótce będę mógł do tych zalet dodać jeszcze jedną: to dzięki przygodzie z Turcją udało mi się analitycznie rozwinąć tak, żeby nie zostać szybko zastąpionym przez sztuczną inteligencję. W tej sytuacji daruję jej wspomnianą frustrację związaną z nadmiarem wrażeń, jakich dostarczyła mi w ostatnich latach.

KS: Turcja ze swoim potencjałem, ambicjami i aktywnością, ale i ze swoimi bolączkami, ograniczeniami i wyzwaniem to nie tylko fascynujący intelektualnie przypadek sam w sobie, lecz także doskonały punkt referencyjny do analizy szerszych trendów. Jest uwikłana w szereg złożonych problemów międzynarodowych i regionalnych, po swojemu je czyta, reaguje i próbuje być sprawczą. Jej polityka opiera się na szczególnej diagnozie sytuacji – tego, co dzieje się na Bliskim Wschodzie, czym dziś są Rosja, UE, USA i wielu innych graczy oraz na co ich stać. Przy swojej aktywności Turcja błyskawicznie (trafnie bądź nie) testuje te założenia, uczy się i pozwala innym uczyć się na swoich rozwiązaniach. Jednocześnie – w jej wymiarze wewnętrznym – to żywe laboratorium projektów modernizacyjnych i instytucjonalnych oraz skomplikowanych procesów społecznych. Przeciekawe i ważne.

Dawno temu pewien Izraelczyk mówił mi o Izraelu i Gruzji w kategoriach kanarka w kopalni – tego, który pierwszy reaguje na zbyt wysokie stężenie toksycznych gazów. Izrael i Gruzja natomiast gdzieś tam na rubieżach Zachodu

wcześnie niż inne państwa zauważają groźne tendencje. Innymi słowy – a taka optyka jest zresztą starą tradycją analizy ośrodkowej – na peryferiach pewne procesy widać wcześniej i dobitniej. Turcja jest zatem w pewnym sensie i kanarkiem w kopalni, i awangardą, i jakimś meteorologiem, który stara się łapać wiatr i koniunktury, które idą gdzieś w powietrzu. Turcy żyją, myślą i działają w poczuciu zmiany i niepewności, wyzwań i szans, na które realnie reagują oraz które próbują antycypować i kreować. Analizowanie tego kraju pozostaje więc doskonałą inwestycją w rozumienie świata, w warsztat analityczny.

Wreszcie – Turcja to państwo istotne dla Europy i Polski. Może być wartościowym partnerem, może być poważnym wyzwaniem. Czegóż więcej analityk może wymagać niż szansy na mierzenie się z ważkimi pytaniami?